

WITOLD JABŁOŃSKI



POPIEL

OSOBY

Ród Lecha

Lech – wódz Antów/Lechitów

Nija – córka Derwana, knezia Goplan, wieszczka na Orlim Gnieździe, później żona Lecha i matka Popiela

Popiel – syn Lecha i Nii, władca krain Lechitów, czarno-księżnik

Jaga – żona Popiela, pomorska wiedźma

Ród Wisława

Wisław – pokonany kneź Wiślan, później władca wodnego ludu

Wiła – jego żona, matka Kolady, Welindy i Rzepichy

Kolada – wodna boginka, córka Wisława i Wiły, pierwsza żona Kraka, matka Krakusa i Leszka

Welinda – wodna boginka i czarownica, córka Wisława i Wiły, uczennica Jagi, kochanka, później trzecia żona Kraka, matka Wandy

Rzepicha – wodna boginka, córka Wisława i Wiły, żona Piasta, matka Ziemowita

Ród Kraka

Krak – młodszy brat Lecha, wódz Antów, później władca Wiślan, ojciec Krakusa, Leszka, Piasta i Wandy

Wesna – pasierbica Jagi, druga żona Kraka, matka Piasta

Krakus – syn Kraka i Kolady, książę następcą tronu, później wędrowny guślarz

Leszek – syn Kraka i Kolady, książę malkontent, później wędrowny guślarz

Wanda – półboginka, córka Kraka i Welindy, wojowniczka, przywódczyni Samożonek

Piast – syn Wesny i Kraka, ojciec Ziemowita, „biały” czarodziej, później władca zjednoczonych Polan

Ziemowit – syn Piasta i Rzepichy, późniejszy władca Polan

Pozostali

Kościej – doradca Popiela, kapłan Chorsa i czarnoksiężnik

Madej – przywódca górskich skrzatów rozbójników, potem wojewoda krakowski

Bohord – kagan Obrów, sojusznik Popiela

Skrzek – kapłan Strzyboga i wróżbita Wiślan

Rutger – najemnik germański, Popiel wcielony

Zgub – szewczyk krakowski, przyjaciel Wandy z dzieciństwa

I

Opowieść Wędrowca

Nazywali go Wędrowcem, bo nikt nie znał jego imienia. Nikt nie wiedział, kim jest ani skąd przychodzi. Zjawiał się niewołany i znikał niepostrzeżenie.

Był guślarską legendą, zwłaszcza wśród młodych uczniów czarodziejskiej sztuki przywoływania umarłych. Opowiadali sobie o nim nocą przy ognisku, drżąc z przejęcia, niepewni, czy znów nagle nie zasiądzie pośród nich. Właśnie w taki sposób pojawił się po raz pierwszy pewnej nocy. Nie była to jednak zwyczajna noc, ale Noc Działów, gdy zanika granica między światem i zaświatem, a przeszłość, teraźniejszość i przyszłość splatają się w jeden mocny węzeł.

Nie było to też zwykłe miejsce. Podczas gdy lud odprawiał obrzędy na brzegach Gopła, uczując wokół kurhanów kryjących prochy praojców, dzieląc się jadłem i napitkiem z cieniami zmarłych, oni przechadzali się po zgłiszczach Kruszwicy, grzebiąc w popiołach i na polecenie mistrza szukając przedmiotów przydatnych w czarach: kości poległych w boju, szczątków oręży, kolczug albo nawet uprzęży. Po skończonej pracy rozpalili ognisko u stóp zrujnowanej wieży, która czerniała groźnie nad ich głowami niczym wielki kamienny grobowiec mieszczący strome zejście ze

świata żywych do Nawii. Zwykli ludzie omijali tę ruinę z daleka, uważając ją za przeklętą, dla przyszłych guślarzy stanowiła jednak ciekawe wyzwanie.

Jeszcze przed chwilą nie było nocnego gościa, teraz siedział już pośród nich: ciemny kształt, szczelnie otulony opończą z kapturem, z rękami ukrytymi w szerokich rękawach. Wpatrywali się weń oczarowani, nie śmiąc się poruszyć ani zajrzeć pod ciemną materię, w cień pochłaniający oblicze. Wiadomo, że postać Wędrowca bywa ulubionym przebraniem niejednego z bogów. Kiedy odezwał się do nich starczym, nieco chrapliwym, a jednak dziwnie urzekającym głosem, zasłuchali się w jego słowa.

– Okrutny książę Popiel, jego jadowita żona, myszy i Mysia Wieża... Każdy zna tę baśń od kołyski. Zdziwi was zapewne, że moja opowieść będzie całkiem inna niż zasłyszane w dzieciństwie bajania piastunek. Tylko zaufani Welesa mają rzetelną wiedzę na temat naszych zbroczonych krwią korzeni. Tylko guślarz ma odwagę spojrzeć prosto w oczy strasznego żmija i pożyczyć wystarczająco długo, by o tym opowiedzieć. Aby zrozumieć całą prawdę zawartą w owej historii, musimy ją wydobyć z głębi dziejów, cofnąć się w przeszłość ku dalekim puszczykom i stepom. Rozsiądźcie się wygodnie, przymknijcie oczy, aby nie oślepił ich błysk stali, niech uszy wypełni brzęk oręża, a w sercach wyryją się czyny mrocznych czarowników i mocarnych witezi.

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma rzekami, w krainie, gdzie wschodzi słońce, miesz-

kał nad wielkim jeziorem dzielny lud Antów, któremu przewodził Najstarszy Ant. Jezioro było głębokie i rozległe niczym morze, toteż nazwano je Morzem Sarmackim. Antowie łowili w nim ryby, wypuszczając się w śmigłych łodziach na dalekie połowy. Wypasali też stada bydła na bezkresnych stepach. O te stada dochodziło czasem do walk z innymi plemionami, lecz zazwyczaj żyli z nimi w pokoju, chyba że wojownikom zaczynały doskwierać głód lub nuda – wówczas udawali się na łupieżczą wyprawę. Poległych palili na stosach, a ich prochy grzebali w wielkich kurhanach. Sąsiednie ludy bały się ich, byli bowiem zajadli i niezwyciężeni w bojach, słynęli z twardej dłoni i celnego oka. Jako rybacy, myśliwi i pasterze nie znali rolnictwa, lecz i tak stepy dostarczały im wszystkiego, czego mogli zapragnąć. Przemierzali je na chyżych, nawykłych do dalekiej jazdy rumakach, które chwytali na równinach, pętali powrozami i oswajali. Główne siedziby Antów mieściły się na zachodnim brzegu jeziora, gdzie panowała wielka obfitość słodkich jagód i innych owoców, ptactwa i wszelakiej zwierzyny.

Ant miał licznych synów z wielu żon i branek, lecz najbardziej ukochał dwóch najstarszych, niezrodzonych z ludzkiej niewiasty. Ich matką była bowiem wężowa pani jeziora, srebrnołuska boginka Manasa, która wyłoniła się pewnej nocy z wód Morza Sarmackiego i objawiła Antowi w postaci nadludzko pięknej kobiety. Usidliła go swymi wdziękami i w krótkim czasie poczęła z nim dwóch potomków, którym sama nadała imiona: Lech i Krak. Pierworodny urodził się głęboką nocą, drugi w środku jasnego

dnia, co wyznaczyło ich dalsze losy. Manasa wychodziła często na brzeg jeziora i patrzyła, jak jej pacholęta wyrastają na krzepkich i psotnych chłopaków, a potem dorodnych i walecznych młodzieńców, przynosząc chlubę swemu plemieniu i budząc nadzieje na przyszłość.

Skoro jednak wszystko na tym świecie ma swój początek, ma także kres. Pewnego dnia nad wschodnim krańcem jeziora ognista zorza zapłonęła jak wielki stos ofiarny, a słońce wzeszło czerwone niczym nabrzmiały krwią rybi pęcherz. Ant wezwał wtedy synów przed oblicze i rzekł im:

– Tej nocy wasza wodna macierz oznajmiła, że widzę ją raz ostatni, a także was, moi synowie. Ze wschodu nadciągają ku nam hordy dzikich Obrów. Włosy noszą oni splecione w kształt węzowych ogonów, czczą bowiem święte węże i karmią je ciałami jeńców. Postury są dość nikczemnej: mali, żółci, skośnoocy, o płaskich, niby martwych twarzach, lecz podczas walki strach budzi ich mrowie, są bowiem liczni niczym ziarnka piasku na stepach. Jeziorna pani nie ma mocy, aby ich powstrzymać, toteż ogłosiła koniec swego panowania. Nakazała, byście ruszyli razem z młodymi druhami na ziemie zachodnie, zamieszkane przez plemiona Wenedów, i zdobyli tam nowe siedziby dla siebie i swych rodzin. Według boginki twoja dola, Lechu, dopełni się nad podobnym do naszego jeziorem, w którym ze śmierci odradza się życie. Ty zaś, Kraku, zwiążesz swój los z wielką rzeką, która jest samym życiem. Ruszajcie więc co sił, ja zaś z waszymi młodszymi braćmi będę was osłaniać i postaram się zatrzymać tu Obrów jak najdłużej.

Wola rodzica jest święta, tak więc junacy nie ociągali się z jej spełnieniem. Skrzyknęli swe drużyny, zebrali stada wołów, siedli na koń i ruszyli w drogę w ślad za zachodzącym słońcem. Lech wołał zresztą od mozolnej jazdy w słonecznym skwarze wędrować chłodną nocą, kierując się gwiazdami, dzięki czemu czasem wyprzedzał młodszego brata. Wtedy już wystąpiły między nimi pierwsze braterskie swary, lecz umieli je załagodzić, dopóki przyświecał im wspólny cel.

I tak wędrowali dniami, nocami, a drogę wytyczały im przemiany przetaczającego się po nocnym niebie miesiąca i następstwo słonecznych lat. Przemierzali rozległe przestrzenie, lecz nigdzie nie zagrzali zbyt długo miejsca, jako że w sercach obu braci gościł smutek – wciąż bowiem nie zdołali dotrzeć do krain przyobiecanych przez starego ojca i matkę boginkę.

Wymieniali towary z pokojowo nastawionymi plemionami, które napotkali na swej drodze, lub wojowali ze skorymi do walki, po czym brali łupy i niewolników. Uczyli się sporo od spotykanych obcoplemieńców, w tym biegłego władania mową wspólną dla Ludów Słowa. Stepy uczyniły z nich wojów bitnych i nieulękłych, walczących nie tylko dla grabieży, lecz także dla nieśmiertelnej sławy opiewanej w pieśniach przez wiele pokoleń.

Prawdziwym wyzwaniem okazały się dla nich nieprzeniknione bory, które zagrodziły im drogę. Wydały się zachwycające, ale i groźne, gdyż dobiegały z nich głosy duchów. To wówczas po raz pierwszy przeniknął ich dreszcz czegoś nieuchwytnego, niewidzialnego, przynoszącego

wizje zaświata. Minęło sporo czasu, zanim nauczyli się przedzierać przez knieję, wyrąbując dalszą drogę na zachód, i rozeznawać się na tyle, by nie pobłądzić, lecz to właśnie dzięki temu stali się wybornymi tropicielami oraz łowcami. W leśnej głuszy, siedząc po udanych łowach przy ogniskach u stóp prastarych dębów i wpatrując się w lotne opary unoszące się nad moczarami, dostrzegali mgliste cienie przodków, o których czynach długo w noc snuli opowieści. W lasach nie tylko więc nauczyli się tropić i polować, ale też odnaleźli nowych bogów łudzaco przypominających ich samych. Lubili potem wracać do leśnych legend jak do źródła wiecznej młodości.

Gdy zaś przedarli się przez owe puszcze, stanęli nad wielką rzeką przypominającą tę z ojcowskiej przepowiedni. Zasięgnawszy języka od miejscowych rybaków, dowiedzieli się, że tutejsze plemiona zwą ją Wisłą. Serca Lecha i Kraka zadrzały radośnie. Poczuli, że nareszcie dotarli do wymarzonej krainy. Młodszy z braci chciał od razu powędrować w górę rzeki, wywiedziawszy się o leżących tam żyznych ziemiach, starszy parł jednak nieprzerwanie naprzód w poszukiwaniu czarownego jeziora. Tak oto, z niemałym trudem przedostawszy się na drugi brzeg, a dalej grzęznąc po drodze w licznych mokradłach i rozlewiskach, dotarli w końcu nad Gopło. Północnego krańca jeziora strzegła potężna warownia na wyspie, stołeczny gród Goplan zwany Kruszwicą.

Wobec nadejścia obcych wojów mieszkańcy niezwłocznie podpalili most łączący wyspę z brzegiem i zawarli główną bramę. Lech i Krak niezrażeni wrogim przyjęciem – bo też innego się nie spodziewali – zdołali w porę

ugasić ogień i poczęli oblegać gród, największy, jaki do tej pory widzieli.

Antowie opłynęli wyspę ze wszystkich stron i zarzuciwszy na wysokie wały powrozy oraz drabinki na hakach, poczęli się wspinać na palisady, rażeni przez obrońców strzałami, włóczniami, kamieniami i belkami. Dwaj młodzi wodzowie przystanęli u wejścia na most, doglądając postępów, jakie czynił potężny taran tłukący miarowo w drewniane wierzeje. Rozmawiali podniesionymi głosami, przekrzykując łoskot uderzeń i bitewny zgiełk.

– Miejscowi powiadają, że gród ten zwie się Kruszwica, bo każdy najeźdźca skruszył oręż na tych ziemnych wałach i ostrokołach – wyrzekł Lech, obserwując swych wojów spod powiek przymrużonych w świetle zachodzącego słońca.

– Wygląda, że i my połamamy na nim zęby – odparł posępnie Krak.

– Nie trać ducha, braciszku. Trzeba przyznać, że twój pomysł, by wyposażyć drabiny w haki, okazał się wyśmienity.

– Cóż z tego, skoro naszych wciąż spychają do wody niby ślepe szczenięta – westchnął młodszy z braci.

Nie skończył mówić, gdy jeden z wojów wdzierający się na wał nieopodał runął do jeziora z przeraźliwym wrzaskiem.

– Trzeba przyznać obrońcom, że to żelaźni ludzie... Spójrz na tamtych, czynią nam najwięcej szkód. – Wskazał dwóch mężczyzn: włócznika oraz osłaniającego go woja z potężną tarczą, szalejących na wałach niczym dwugłowe straszysko. Biada temu, kto stanie im na drodze – stwierdził Lech z odcieniem podziwu dla nieznanego mu wcześniej bojowej sztuki.

– Jeńcy mówili, że to bliźniaczy synowie starego władcy, knezia Derwana, który zagrzewa synów do walki, wygrywając pieśń bojową na dudach.

– Muszą w tym być jakieś czary. Zauważyłeś, Krak, że żaden z naszych rannych nie wypływa na powierzchnię? – dodał po chwili, wpatrując się w toń jeziora. – A przecie Antowie umieją pływać...

– Jakaś zła siła wciąga ich na dno – potwierdził młodszy z nieskrywanym niepokojem. – A spostrzegłeś, że zrzucają do wody także własnych zabitych?

– Widać, że to plemię o dzikich zwyczajach, choć potrafi budować grody – ocenił wzgardliwie Lech. – Ojciec powiadał, że wielkość każdego rodu rozpoczyna się od czci dla zmarłych...

– Może boją się w grodzie zarazy? – zastanawiał się głośno młodszy.

– Albo raczej chcą wśród nas szerzyć zarazę, gdy zatrują wody jeziora. Powinni rzucać swe trupy w ogień. Nasze płonące strzały wznieciły tam sporo pożarów...

– Lecz je ugasili, bo wody im nie brak. Cała nasza nadzieja, że wyłamiemy te drewniane wrota. Twój taran spisuje się nieźle!

– Pewnie, że nieźle, skoro kazałem na niego ściąć najwyższą sosnę w okolicy – odrzekł wódz z dumą. – Tylko patrzeć, jak brama padnie. Wtedy wyrąbiemy sobie drogę do środka i zatłuczemy dwugłowego wodza...

– Cofnij się, bracie! – krzyknął Krak, osłaniając Lecha tarczą, w którą zaraz wbiło się parę strzał.

Lech odetchnął z ulgą i spojrzał na brata z wdzięcznością, chwilę potem jednak zaśmiał się kpiąco.

– Co, braciszku? Wystraszyłeś się paru strzałek? Nie bój się, nie padniemy tutaj na progu chwały. Nie taka piana nam doła...

– Odwrót! Leją smołę! – zawołał Krak, cofając się odruchowo, choć znajdowali się poza zasięgiem, na drugim krańcu mostu.

– Całe szczęście, że doradziłeś, by okryć taran daszkiem wilgotnych skór – pochwalił brata Lech, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Gdy trzeba, nie brak ci sprytu... Hej, tam, walić, nie ustawać! – krzyknął na wojów przy taraniu. – Gorąca kąpiel jeszcze nikomu nie zaszkodziła!

Odpowiedzią był chlupot lejącej się smoły i wrzask poparzonych.

– Wymienić rannych i tłuc! – rozkazywał Lech. – Słyszycie, jak brama trzeszczy? Zaraz padnie!

Nagle Krak strącił z ramienia dłoń brata, mocniej zacisnął palce na pochodni i wyrwał się do przodu.

– Dam radę, Lechu – rzucił na odchodnym.

Podbiegłszy do samych odrzwi zalanych smołą, podpalił je. Ogień ogarnął wrota na całej wysokości, a po chwili wszystko inne zagłuszył huk płomieni i trzask pękającego drewna.

– Sława księciu! – ryknęli rozradowani wojowie.

Lech rozłożył szeroko ramiona i uściskał powracającego doń brata.

– Dobrześ się spisał, bracie. Sława! Wrota wnet upadną!

Podniesieni na duchu Antowie wzmogli siłę uderzeń, czując, że zaraz przebiją się przez płonące bierwiona. Nagle, gdy huk tarana i trzask wrót stały się niemal ogłu-

szające, górę nad nimi wziął złowrogi szum wodnych fal na marszczącej się gniewnie powierzchni jeziora.

– Gopło się burzy – rzekł Krak z obawą.

– Nie widzę dobrze przez tę mgłę – warknął gniewnie Lech, usiłując coś wypatrzeć w zapadającym zmroku.

– Chyba czarodziejska – podchwycił młody drżącym głosem. – Słyszysz, jak nasi krzyczą?

Obaj wyteżyli wzrok i zdołali coś wreszcie dojrzeć w szarym zmierzchu.

Z głębin wynurzały się ciemne postacie. Topiły łodzie Antów jedna za drugą i wciągały wojów w topiel.

– Skąd się tu wzięli? – wyszeptał zdumiony Lech.

– Pamiętasz, jak rzucali trupy do wody?

– Udawali zabitych i teraz wypłynęli? Żaden człowiek nie zdierży tak długo pod wodą...

– Chyba nie udawali. Trupy były prawdziwe...

– Co?! Ożywieńcy? Nie wierzę!

– Słyszałem o takich czarach – wyznał z trwogą Krak.

– Nie sprostamy im, bo nie da się zabić tego, co już umarło. Nasi ginący ludzie tylko zwiększą ich liczbę.

– Wrota zaraz padną, a wtedy nie powstrzyma mnie żaden upiór ani topielec – rzekł twardo Lech. – Wytrwamy.

Rozległ się potworny trzask mostowych pali, który na kilka uderzeń serca zagłuszył huk tarana. Most się zachwiał i zaczął zapadać, a nad wodą niosły się upiorne piski, wycia, rzęzenia trzęsących nim topielców.

Krak wskazał bratu wzburzoną, zmętniałą wodę, w której upiory wyrywały z jeziornego dna podtrzymujące most pale.

– Czar nieumarłych dał im nadludzką siłę – jęknął z przerażeniem. – Wycofajmy się, bracie, albo tutaj zginemy!

– Teraz, gdy zwycięstwo tak blisko? Nie cofnę się za nic! – upierał się hardy wódz.

Pale chwiały się coraz bardziej, pękały mostowe deski, wysuwały się spomiędzy nich zielone łapy topielców...

– Rąbcie te szpony, ścinajcie łby! – krzyczał zapamiętale Lech. – Antom zmory niestraszne!

– Nas tutaj garstka, a ich przybywa, bo nasi wciąż giną – przedkładał bratu Krak. – Nie sprostamy tym czarom. Zaklinam cię, Lechu, cofnijmy się, jeśli nie chcemy sami do nich dołączyć!

– Tym razem cię posłucham, aby oszczędzić naszych – odparł niechętnie wódz. – Hej, poniechajcie! – zwrócił się do swych wojów. – Do czorta z przeklętą bramą, niech bies porwie Kruszwicę! Trąbić odwrót!

Krak zagrał na trwogę. Po chwili Antowie uciekali jak jeden mąż, z nieznanym dotąd popłochem, ścigani dzikim wyciem topielców i radosnym krzykiem ocalałych obrońców Kruszwicy.

Najeźdźcy wycofali się do obozowiska nad Wisłą, żeby się przegrupować i podleczyć rany po doznanej porażce. Lech i Krak topili smutki w skisłym kobyli mleku, lepiej według nich kojącym gorzyc przegranej niż miejscowe piwa i miody.

– Mam nadzieję, że żaden z Antów nie uwieczni w pieśni tego, co nam się dziś przydarzyło – wyrzekł Lech, przerywając ponure milczenie.

– Bądź spokojny, nikt nie zechce, bo i nie ma czego wysławiać – zapewnił Krak. – Kruszwica wciąż nieskruszona, my zaś uciekliśmy pobici. Sam najchętniej bym o tym zapomniał. Gopłanie z pewnością tańczą już taniec zwycięstwa pospołu z topielcami, a władca przygrywa im na czarodziejskich dudach...

– Nic to, póki żyjemy, żyje też nadzieja – stwierdził starszy z braci, wpatrzony w ogień. – Jeden chybiony atak nie przesądza o losach wojny. Będziemy prażyć gród ognistymi pociskami, aż zgorzeje, a obrońcy się poddadzą.

– Jeśli bardziej cenią życie niż chwalebłą śmierć i jeśli topielcy z Gopła pozwolą nam się zbliżyć na dogodną odległość – uściślił z namysłem młodszy.

– Ich także spopielimy! – warknął Lech gniewnie. – Czuję, że można zwalczyć ogniem te poczwary.

Krak westchnął.

– Oby starczyło smołowanych ognistych kul...

– Dobrze, że poznaliśmy tajemnicę ich wyrabiania – podjął wódz, ocierając pot z czoła.

– Gdybyś nadto nie przypalał jeńca łuczywem, może zdradziłby nam jakieś inne tajniki bojowe – rzekł Krak z przekąsem. – Kto wie, co jeszcze Gopłanie szykują przeciwko nam.

– Ano tak... – Lech cmoknął – szybko się biedak wypalił.

Obaj zaśmiali się z cicha na wspomnienie owych gorących spytek.

– Dosyć tego krakania, Kraku – rzekł Lech. – Co może być gorszego niż ziemne wały grube na cztery łokcie i wyłożące z wody topielcy? Ufam, że to kres ich możliwości.

– Gdybyśmy się zawczasu dowiedzieli...

– Stało się, nie ma co biadać – uciął Lech. – Matka przepowiedziała mi święte jezioro, miejsce odrodzenia ze śmierci, lecz Gopło okazało się dla nas śmiertelną pułapką.

– Właściwie to nieśmiertelną – sprostował Krak przekornie – i naszą wieczystą hańbą.

– Uznajmy, że dzisiejsza porażka to ledwie kropla w morzu krwi i łez – orzekł Lech, prostując się dumnie. – Czekaj nas jeszcze wiele drobnych potyczek i wiele wielkich zwycięstw.

– Obyś miał rację, Lechu... bo na razie tkwimy niby łosie po szyję w bagnie i dalej ani rusz...

Mówiąc to, Krak zachichotał pijacko, na co Lech chrząknął jak rozdrażniony dzik.

– Idźmy lepiej spać, młody, skoro zaczynasz pleść trzy po trzy – zrugął brata. – Może we śnie znajdę sposób, jak skruszyć wały Kruszwicy.

– Rozkaz, wodzu – odrzekł młodszy, podnosząc się z miejsca. Kolebał się teraz, usiłując stać prosto. – Przysłać ci którąś z nałożnic? – spytał jeszcze, popatrując spod oka na wodza.

– Nie, bracie – odmówił stanowczo tamten. – Muszę sam się przespać z owym kłopotem.

– Śpij więc i wyśnij dla nas zwycięstwo. – To rzekłszy, wyszedł z namiotu.

Podczas gdy Krak szukał zapomnienia w objęciach przygodnej miłośnicy, Lech osuszył do dna kociołek i z pomocą ognistego trunku zdołał w końcu przegnać ponure myśli.

W głowie mu się mąciło i legł jak podcięty dąb. Ukołysany szumem pobliskiej rzeki i lasu zapadł w głęboki, ale męczący, pełen dziwacznych wizji sen...

Śnił o tym, że się zbudził i wstał z posłania, zaniepokojony martwą ciszą w obozie. A raczej jego duch powstał, bo kiedy się obejrzał za siebie, cielesna powłoka wciąż spoczywała w głębokim uśpieniu. Wiedział, że to sen, a zarazem w swej duchowej postaci czuł się jak najbardziej rzeczywisty. Targany nieznany dotychczas lękiem, a także przeczuciem czegoś ważnego i nieodwracalnego, podszedł do wyjścia i odchylił połę namiotu. Na chwilę zamarł w zdumieniu. Obozowisko okazało się puste, jakby wymarłe, nie było w nim ludzi ani zwierząt, tylko porywisty wiatr miotał zetłymi płachtami namiotów, obsypując wszystko szarym popiołem. Nie wiadomo było, czy to noc, czy dzień. Nieboskłon zasnuły ołowiane chmury, nisko zawieszone nad wierzchołkami martwych drzew. Wszystko zdawało się tu pozbawione życia, nawet pobliska rzeka, która toczyła leniwie mętne, ciemnoczerwone wody wśród piasków osuwających się z brzegu. Nad nią unosiła się rdzawa mgła, a w jej oparach kłębiły się dziwne kształty, potworne i nieuchwytny, aż w końcu uformowały kobiecą postać.

Stała na brzegu dostojna jak posąg bogini, nieprzystępna, straszliwa. Jej twarz wyglądała jak ciemna chmura o sinawych księżycowych odblaskach, oczy jaśniały niczym para błyskawic, usta zaś wyginały się pożądliwie, przywodząc na myśl krwawy miąższ owocu o białych pestkach. Odziana była w długą szatę barwy nocnego nieba, a w kruczoczarne włosy wplotła srebrny półksiężyc.

Wokół jej bosych stóp wiły się dwa syczące węże, jasny i ciemny. W prawej dłoni trzymała wieniec z dębowych liści. Lech ruszył ku niej, zachwycony i rozpalony, lecz kiedy się zbliżył, spostrzegł, że jej ciało jest równie ulotne jak snujące się wokół nadrzeczne opary. Zatrzymał się więc stropiony i rozejrzawszy dokoła niepewnie, zapytał z rozdrażnieniem:

– Co to za dziwne miejsce? Gdzie ja, u czarta, jestem?!

– U czarta? – powtórzyła zjawą z wyraźnym rozbawieniem. – Zgadza się, jesteś w Nawii, za pozwoleniem jej rogatego pana, Welesa. A raczej twój duch nawiedza we śnie ową martwą krainę. Ludzie nas nie widzą, ale my ich tak i patrzymy na ich czyny, zwłaszcza teraz, gdy ponury wiek żądz, krwi i zbrodni skałał tę ziemię.

– Kim jesteś, pani? – spytał Lech.

– Nazywam się Nija i jestem wieszczką tutejszych ludów – oznajmiła. – A także tą, która na ciebie czekała, twoją przyszłą oblubienicą. To dla mnie przeszedłeś wszystkie rzeki i bory, pokonywałeś obce plemiona i powalałeś ich wodzów. Ten wieniec będzie twoją nagrodą. Gdy przyjmiesz go z mojej ręki i uwieńczysz nim skroń, zostaniesz władcą całej krainy Goplan i wszystkich ościennych ziem.

Lech bez namysłu wyciągnął dłoń po dębowy wieniec, lecz ten rozwiął się w okamgnieniu, jakby upleciony był z mgły i dymu. Młody wódz cofnął się o krok i wybuchnął pustym śmiechem.

– Mamisz mnie złudnym wieńcem i wiele obiecujesz, choć jesteś senną marą, obrazem moich pragnień. Niby czemu miałbym zostać twoim wybrańcem i władcą?

– Są władcy noszący koronę, lecz niebędący godnymi władcami, jak tutejszy kneź dudziarz i jego dzicy synowie. Są też synowie pasterzy, co noszą niewidzialną książęcą godność na swych czołach i nie znają własnej potęgi – wyrzekła, wpatrując się weń przenikliwie. – Jesteś silny, młody i dzielny, idą za tobą liczni wojowie. Pomogę ci zwyciężyć, a wtedy otrzymasz wieniec i stworzysz nowy ród. Reszty dowiesz się jutro, gdy odwiedzisz moją wyrocznię i przekonasz się, że nie jestem jedynie złudą.

– Gdzie jest owa wyrocznia? – zapytał niecierpliwie.

– Trochę dalej na zachód, na wzgórzu Orle Gniazdo – odparła. – Z jego szczytu wyrasta potężny dąb, w którego konarach niegdyś uwił gniazdo wielki orzeł, praojciec wszystkich orłów. Ale to dawne dzieje. Teraz znajduje się tam wyrocznia, w której wróżę z ognia i wody, przepowiadam przyszłą dolę okolicznym władcom, wielmożom i zwykłym kmieciom. Ty również poznasz swój los. Ruszaj skoro świt, nie zwlekając.

– A jak znajdę to twoje wzgórze? – podjął nieufnie.

– Ten, kto znalazł przeznaczone mu jezioro, nie powinien o to pytać – odparła z dźwięcznym chichotem. – Każdy malec w tej krainie wie, gdzie jest Orle Gniazdo. Weź dzieciaka na przewodnika.

To rzekłszy, wieszczka znów się zaśmiała i zniknęła, a wtedy miotany wichrem martwy las zawył rykiem setek podziemnych biesów. Przebudzony Lech wciąż miał w uszach głos zaświatowych potęg i tajemnicze słowa wieszczki.

Wyruszył w drogę bez zwłoki, wzięwszy ze sobą tuzin zaufanych druhów. Po gorących namowach przyłączył się

także Krak, chociaż dziwnie niechętny. Poprowadził ich chłopak najęty w najbliższej wiosce, którego wołali Ludek.

Jechali przez gęstą puszcę wąską dróżką, na którą olbrzymie pnie drzew, wspomagane skrzekiem ptactwa oraz rykami żubrów i turów, zdawały się napierać z obu stron, jakby pragnęły odzyskać swoją odwieczną dziedzinę. Lech nie zważał na otoczenie, uporczywie patrząc przed siebie. Jak wcześniej zmierzał bez wahania do przyobiecanego jeziora, tak teraz przyciągało go nieodparcie wyśnione Orle Gniazdo.

Krak rozglądał się nieufnie na boki.

– Nie wiem, Lechu, czy słusznie czynimy, znów wędrując w nieznane – odezwał się w końcu z przyganą. – Nie dość, że rozdzieliliśmy nasze siły, to jeszcze zostawiamy za plecami silną i niezdobytą warownię.

– Pozbędziesz się tych wątpliwości, gdy dotrzemy na miejsce – odrzekł Lech z przekonaniem. – Wieszczka przepowie naszą dolę i wskaże drogę zwycięstwa.

– Jaka znów wieszczka?! – zawołał drwiąco Krak. – Twoja senna mara? Nie wiadomo, czy naprawdę istnieje.

– Nasz mały przewodnik potwierdził, że każdy na tych ziemiach słyszał o Orlim Gnieździe i wielu możliwych odwiedza wyrocznie, by poznać przyszłość, odczytać wolę bogów albo choćby zasięgnąć rady.

– Może powiedział tak, by nas poprowadzić prosto w zasadzkę Goplan?

– Tego na pewno nie uczyni, skoro wzięliśmy na zakładników całą jego rodzinę: ojca, matkę, braci i siostry. Jeśli nie wrócimy do obozu za dwa dni, nasi woje poder-

zną im gardła. A jeśli wrócimy, otrzymają sowitą zapłatę i odejdą wolni – oznajmił beznamietnie wódz Antów.

– Umiesz być okrutny, gdy trzeba – mruknął Krak.

– Tylko roztropny i zapobiegliwy, mój drogi bracie – wytłumaczył mu Lech. – Nie podjąłbym tej niepewnej wyprawy, nie zabezpieczywszy się wprzód. Chłopak jest wprawdzie Goplaninem, lecz synem zwykłego rybaka. Nie narazi rodziny dla dobra swych pomyłonych władców. Co za różnica, kto ich gnębi i uciska daninami? Równie dobrze mogę to być ja. Waśnie możliwych są obojętne ludowi, byleby miał co włożyć do garnka. To nie ja jestem okrutny, lecz świat, w którym żyjemy.

– Masz rację, Lechu – przyznał niechętnie młodzik.

– Pewnie, że mam rację, dlatego jestem wodzem – odparł beztrasko Lech.

– Tak, ja zaś twoim marudnym przybocznym – burknął młodszy z braci. – A jednak mam złe przeczucia...

– Zawsze masz złe przeczucia – zauważył starszy. – Krakanie to twój chleb powszedni, ale mógłbyś czasem zamknąć dziób.

I tak jechali, skracając sobie czas braterskimi utarczkami. Pod wieczór dotarli do upragnionej czarodziejskiej góry, malowniczo okolonej ze wszystkich stron nurtami krętej rzeczki i kilkoma jeziorami. Mały przewodnik ostrzegł ich, że wieszczka nie życzy sobie zbędnych świadków podczas głoszenia przepowiedni, towarzyszący dowódcom wojowie rozłożyli więc niewielki obóz u stóp wzgórza, bracia zaś sami weszli na szczyt. Gdy go zdobyli, okazało się, że obawy Kraka nie były chybione.

– Widzisz? – zawołał, rozglądając się wokół. – Niczego tu nie ma! Dawno wygasłe kamienne palenisko i uschły dąb rozszczepiony piorunem. Przybyliśmy tu na próżno.

– Cierpliwości, braciszku – odrzekł Lech. – Może wieszczka chce nas wystawić na próbę. Usiądźmy i zaczekajmy.

– Nie zamierzam tracić czasu w tym martwym miejscu – warknął Krak popędliwie. – Nic nas tu nie czeka poza pustką. Czuję, że muszę poszukać własnej drogi.

Powiedziawszy to, zrobił ruch, jakby zamierzał odejść.

– Dokąd to?! – krzyknął Lech zaskoczony, świdrując brata spojrzeniem.

– Nie tylko ty miewasz wieszczę sny, Lechu – wyznał śmiało młodzieniec. – Tej nocy przyśniła mi się rzeczna rusalka o płowych włosach i oczach jak bławatki. Wabiła mnie, wskazując drogę ku Wiśle. Pójdę z moją drużyną jej poszukać.

– Chcesz mnie opuścić teraz, gdy ważą się losy wojny? – zawołał gniewnie wódz. – Osłabić nasze siły, aby z gromadą młodszych synów szukać gdzieś wodnej dziewczki? Nie pozwolę ci odejść! To zdrada!

– I kto to mówi? – sparował atak Krak. – Ten, co przyprowadził nas tutaj na darmo, wiedziony sennym przecuciem? Spróbuj mnie zatrzymać!

Krew w braciach zawrzała i mało brakowało, a skrzyżowałiby miecze, gdy nagle zatrzęsło się Orle Gniazdo i ziemia rozpekła się pod stopami przybyszów. Z buchającej ogniem rozpadliny wyszła na żywy świat wieszczka Nija, gromiąc wzrokiem zwaśnionych. Po chwili ziemia

na powrót się zasklepiła, zaś ofiarne palenisko zapłonęło sinym płomieniem.

– Zaniechajcie bratobójczej zwady – wyrzekła wróżka.

– Nikomu nie wolno dobywać broni na Orlim Gnieździe, bo spadnie na niego gniew bogów. Lechu, twój młodszy brat słusznie prawī. Wasze drogi się właśnie rozchodzą.

– Mam pozwolić, żeby mnie teraz zostawił? Naprawdę musimy się rozstać? – pytał stropiony Lech.

– Właśnie tak – potwierdziła Nija. – Odmienne są wasze dole i żądają tego nasi bogowie. Różnicie się między sobą jak dzień od nocy. Jak słoneczny Swarożyc i księżycowy Chors, gdy walczyli o miłość Jutrzenki... Walka bogów wiecznie powtarza się wśród ludzi.

– Ale my się nie wadzimy o niewiastę – wtrącił przekornie Krak. Popatrywał jednak na wieszczkę z głębokim szacunkiem.

– Och, a zdawało mi się, że przed chwilą spieraliście się o jakąś wodną pannę? – odparła w podobnym tonie.

– Hm, niewiele wiem o czarach ani proroczych snach – przyznał młodzik. – Jestem prostym wojem szukającym własnego miejsca na ziemi. Może wskażesz mi drogę?

– Zapalczywi jesteście obaj – podjęła wróżka, poważniejąc. – Wężowa krew krążąca w waszych żyłach będzie zagrzewać was do kolejnych podbojów. Srebrnołuska Manasa była córą białego węża i czarnej żmii, połączyła w sobie światło i ciemność. Waszą matką jest wodna pani i dlatego to woda wyznacza losy jej synom. Jest przeznaczeniem twoim, Lechu, i twego brata, ale może być także przekleństwem. Od was zależy, jakimi pójdziecie drogami.

– Skąd to wiesz? – spytał Lech.

– Objawił mi to mój pan, Chors, który każdej nocy wędruje po niebie i widzi wszystkie sprawy w ciemności. Lech czerpie swą moc i mądrość z głębokiego mroku, ale ty, Kraku, jesteś słonecznym wojem, witeziem Swarożycza. Święty ogień wypełnia twoje serce, w nim kąpią się twoja młodość, siła i męskość. Idź na południe, w górę Wisły, do kraju Wiślan. Są rzeźnym ludem i czcili dotychczas wodę, ty zaś nauczysz ich patrzeć w niebo. Przyniesiesz im część dla ognia, słońca i błyskawicy oraz dla domowego ogniska. Rozpytuj po drodze o ich główny gród, Wiślicę, a znajdziesz tam swoją rusałkę.

– Sądzisz, że mnie zechce? – spytał z nieśmiałą nadzieją.

– Na pewno, skoro nawiedza cię w snach – zapewniła.

– Pasujecie do siebie i uzupełniacie się jak dwa przeciwstawne żywioły, lecz uważaj, bo może zgasić twój żar. Wiślanie ukorzą się przed tobą, a wiślańska księżniczka odda ci swój wianek. Któż by się zresztą oparł twoim błękitnym oczom i złotym kędziom – dodała żartobliwie z wieloznacznym uśmieszkiem.

– Hej, ja także tutaj jestem, gdybyście zapomnieli – wtrącił Lech niezadowolony, że wróżka poświęciła głównie uwagę bratu, a nie jemu.

– Ty tu jesteś najważniejszy, Lechu – zapewniła go stanowczo Nija. – Nie musisz błagać swej doli o zwycięstwo. Gdy zwyciężysz, ona uklęknie przed tobą. Wyjaśnię ci wszystko, lecz najpierw pozwól odejść Krakowi.

– Dobrze – zgodził się Lech wbrew własnej chęci, nie chciał jednak spierać się z wolą bogów. – A zatem... szczę-

śliwej drogi – rzekł, spoglądając z żalem na brata, który miał go opuścić w najważniejszej życiowej chwili.

– Żegnaj, Lechu – odpowiedział Krak z westchnieniem ulgi. – Niech bogowie dadzą ci wielkie zwycięstwo.

Starszy z braci rozłożył szeroko ramiona.

– Niezgłębione wyroki losu – mruknął Krak, tonąc w niedźwiedzim uścisku, choć sam był przecież chłopem na schwał.

– Przysięgnijcie na wasze miecze, że nigdy nie będziecie ze sobą walczyć i wzajemnie najeżdżać swych ziem – przykazała surowo wieszczka. – Tak chcą bogowie.

Bracia bez wahania złożyli przysięgę, po czym Krak ruszył w drogę powrotną. Zszedłszy ze wzgórza, odszukał Ludka i kazał mu w te pędy zanieść rozkaz młodszym drużynnikom, by skierowali się w górę Wisły i dogonili swego wodza w drodze do Wiślicy. Sam zaś podążył ku swemu przeznaczeniu.

Lech i Nija pozostali we dwoje przy palenisku ofiar-nym, mierząc się wzajemnie czujnymi spojrzeniami.

– Żywe trupy wyłazące z Gopła to twoje dzieło? – Ant przerwał w końcu napiętą ciszę.

– Widzę, że od razu przechodzisz do rzeczy. Prawdziwy człowiek czynu, który nie bawi się w gładkie słówka. Wódz nawykły do rozkazywania – stwierdziła ni to chwaląc, ni ganiąc. – Tu jednak nie możesz nikomu rozkazywać. Możesz jedynie prosić.

– O co?

– O zwycięstwo. Przyszedłeś tutaj, gdyż po raz pierwszy w życiu poniosłeś porażkę. Dobry powód do rokowań.

– To prawda – przyznał z ciężkim sercem – wczoraj sromotnie przegrałem, ale głównie dlatego, że nie wiedziałem, jak walczyć z tym... paskudstwem. Co sprawia, że chcesz mnie wspierać? – zapytał bez ogródek.

– Zaufałaś mi, gdybym odpowiedziała, że miłość?
– odpowiedziała pytaniem, zalotnie przechylając głowę.

– Nie – odrzekł wprost. Był odporny na takie sztuczki.
– Czemu miałaś kochać obcego najeźdźcę?

– Słusznie. Żadnej kobiecie nie należy ufać w tych sprawach... Może więc bardziej przemówi do ciebie zemsta?

– Owszem – przytaknęła z ożywieniem. – Na kim pragniesz się mścić?

– Na moim ojcu i braciach, władcach krainy Goplan – wyznała, patrząc mu w oczy.

– Kneź Derwan jest twoim ojcem?! – zawołał zaskoczony.

Nie był pewien, ale miał wrażenie, że pod jedną z jej powiek zakręciła się łza powstrzymana chyba siłą woli, albowiem nie spłynęła po policzku.

– Przestał nim być – rzekła z goryczą – odkąd zostałam wiedźmą Chorsa i przyjęłam nowe imię: Nija, które w naszej tajemnej mowie oznacza nicłość i pustkę zaświata. Opowiem ci, jak do tego doszło, chcesz?

Skinął głowę.

– Matka odumarała mnie bardzo wcześniej, prawie jej nie pamiętam. Ojciec i bracia ciągle zajęci byli wojowaniem albo łowami, toteż rzadko ich widywałam. Pewnego dnia, gdy błąkałam się sama po grodzie, przyłączył się do mnie chłopiec, którego wołali Kostuś. Był rzeczywiście

dosyć kościsty jak na kuchcika, niezbyt urodziwy, lecz jego ciemne oczy, blada twarz i kruczoczarne włosy tchnęły dziwnym, posępnym urokiem. Spokojny, nad wiek poważny, nikomu nie wadził. Ciekawiły go głównie cudowne właściwości różnych ziół, z których przyrządzał lecznicze wywary oraz którymi przyprawiał potrawy na pański stół. Grywał także przepięknie na gęślach, wprowadzając słuchacza w stan rozmarzenia. Odnaleźliśmy się jak dwie bratnie dusze i spędzaliśmy razem dużo czasu. Połączyła nas gorąca przyjaźń, która stała się jeszcze gorętsza, kiedy zaczęliśmy dorastać. Gdy raz baraszkowaliśmy na sianie, nasze usta jakby same się nagle zetknęły. Był to niewinny pocałunek, raczej wyraz wzajemnej czułości niż pożądania, lecz mój ojciec i bracia potraktowali go bardzo poważnie, gdy nakryli nas na tej beztroskiej pieszczocie. Starsi bracia, bliźniacy Lel i Pol, byli szczególnie gniewni, miałam być bowiem im poślubiona, gdy dojrzeję już do zamęścia...

– Ciekawe tu macie zwyczaje – mruknął pod nosem, niespecjalnie zresztą poruszony, widział bowiem u różnych plemion przedziwne, uświęcone tradycją obrzędy, które innych mogły oburzać lub wzbudzać zgrozę albo co najmniej odrazę.

– Nasz ród zawsze dbał o czystość krwi, by jej nie mieszać z pospółstwem – odparła z dumą godną księżniczki, choć jakby bez przekonania. – Z czasem jednak ta zasada wyjałowiła nasze serca i zaczęła obdarzać umysły szaleństwem. Bracia chcieli natychmiast zarębać chłopaka, lecz ostatecznie wymyślili dla niego specjalną kaźń. Uznali, że powieszą go za włosy na drzewie i obiorą za cel, ciskając

weń toporami. Błagałam, płakałam, tłumaczyłam nasze nieopatrzone zachowanie jako dziecinną pustotę. Wszystko na próżno. Ojciec, kneź Derwan pozostawał niewzruszony. Okazało się jednak, że Kostuś umiał o sobie zadbać. Prowadzony na miejsce stracenia zdołał się jakoś wywinąć strażnikom. Głębokie cienie skryły go przed oczami pogoni, gdy wymykał się z grodu. Mnie zaś zamknięto w ciemnym lochu do czasu, aż zdecydują, co począć z siostrą, która zhańbiła ród, zadając się ze zwykłym pacholkiem.

Zamilkła, a Lech nie odważył się odezwać.

– Zrozpaczona, zapłakana leżałam na przegniłej słomie zaścielającej posadzkę – podjęła. – Stopniowo w miejsce głębokiego smutku rodził się w moim sercu gniew, rosło poczucie krzywdy i wyrządzonej mi niesprawiedliwości. Byłam księżniczką, a oni ukarali mnie jak byle niewolnicę. Byłam dziewczicą, a sponiewierali jak nędzną sukę. Z góry wydali wyrok, nawet mnie nie wysłuchawszy. Czy na świecie zawsze musi zyskiwać przewagę głupota wsparta siłą? Wszystko we mnie się buntowało przeciw takiemu stanowi rzeczy. Zwróciłam się do bogów, by mnie wyrwali z tej matni. Nie mogłam liczyć na tych jasnych, którzy z zasady są po stronie ojców rodzin i pierworodnych synów, ale wiedziałam, że mogą wesprzeć mnie mroczne bóstwa, które sprzyjają nieszczęśliwym niewiastom i dają im moc, jakiej bardzo się boją mężowie. Obiecałam bogom ofiarę złożoną z siebie samej. Wkrótce, jakby w odpowiedzi na moje modły, zbudziło mnie z odrętwienia znajome granie gęśli. Tęskna, upojna melodia przyzywała

mnie ku sobie, wabiła... Ze zdumieniem spostrzegłam, że towarzysze mojej niedoli, myszy i szczury, ruszyły do wyjścia, najwidoczniej przyciągane czarownym graniem. Drzwi celi skrzypnęły i uchyliły się nieco, wypuszczając gromadę zbiegów. W pierwszej chwili sądziłam, że śnię, ale kiedy wbiłam paznokcie w dłoń, ból okazał się rzeczywisty. Ostrożnie, powoli wyszłam z lochu. Strażnicy spali jak susły, żaden się nawet nie ruszył. Cały gród zagrożony był we śnie, osrebrzony pełnią księżyca, a główna brama rozwarta na oścież. Wyszłam wraz z całą chmarą gryzoni, które przebiegły most, tłocząc się i przepychając tak, że część wpadała z pluskiem w wody Gopła. Na drugim krańcu mostu czekał na mnie Kostuś. Podeszłam do niego. Przestał grać, wziął mnie za rękę i poprowadził do ukrytej na mokradłach świątyni Chorsa. Gdy już byliśmy bezpieczni, wyjawiał mi, że jest młodziutkim posłannikiem księżycowego boga, a jego prawdziwe imię brzmi Kościej.

– Posłannicy Chorsa wysłali młodego czarodzieja, by zwabił cię do świątyni – zauważył bystro Lech.

– Można i tak na to spojrzeć, ja jednak nie miałam mu niczego za złe, wiedząc, że każdy musi wypełnić, co mu przeznaczono, bez względu na to, czy urodził się panem, czy sługą. Kościej zbudził mnie z niedobrego snu i wyprowadził z niewoli – opowiadała dalej. – Wkrótce udał się ze swym mistrzem na południe, aby w wysokich górach przechodzić kolejne próby, mnie zaś świątynne czarownice zaczęły szkolić na wiedźmę. Kiedy poczułam się dość silna, rzuciłam klątwę na Kruszwicę i cały swój ród. Roznoszące choroby bagienne pasożyty stały się mo-

imi małymi sprzymierzeńcami. Wkrótce plemię Goplan zaczęła nękać okrutna zaraza, która psuła krew. Na całym ciele występowały czarne plamy, oddech stawał się płytki i cuchnący, nabrzmiałe, pokryte wrzodami członki ulegały zniekształceniu i chorzy umierali w najsroźszych męczarniach. Wtedy mój ojciec i bracia przybiegli do mnie, skamląc o ratunek.

– Uleczyłaś ich? – spytał z ciekawością, mając nadzieję, że wiedźma da się namówić do uzdrowienia ciężko rannych w bitwie wojów.

– Rzecz w tym, że wtedy jeszcze tego nie potrafiłam – zaprzeczyła.

Lech starał się nie okazywać rozczarowania.

– Umiałam rzucić klątwę, lecz nie zdołałam jej odwrócić. Łatwiej skazić, niż uleczyć, zniszczyć, niż odbudowywać. Mroczne czary najwygodniej zwalczyć czymś jeszcze mroczniejszym. Rzuciłam więc na Goplan czar nieumarłych: ciężko chorzy i konający skakali w wody Gopła, które niosły im śmierć, ale dawały też nowe, pośmiertne życie...

– Twoi pobratymcy na to przystali? – spytał zdumiony Ant.

– Właściwie nie mieli wyboru – odparła z zimnym uśmiechem. – Droga każdego śmiertelnika i tak nieuchronnie zmierza ku śmierci, ale służba mrocznym bogom nie kończy się wraz z nią. Ożywieńcy otrzymali drugą sposobność przysłużenia się własnej ojczyźnie, a władcy Goplan zyskali armię niepokonanych upiorów, nieulekłych i nieustępliwych, którym niestraszne nawet najgorsze rany. Tak oto moi rodacy stali się wyznawcami Chorsa i księżycowy urok bez reszty zawładnął nadgoplańską krainą.

– Istotnie, wydają się niepokonani, a najsilniejszą ich bronią jest strach, który wywołują samym swoim widokiem – przyznał ponuro Lech. – Domyślam się jednak, że znasz sposób ich pokonania?

– Ogień bywa skuteczny, a także ścinanie łbów – odparła. – Zbyt szczupłe są jednak wasze siły, aby sobie poradzić z chmarą ożywieńców. Armię upiorów zniszczy najpewniej siarczasty dech czarnego żmija, jednej z pradawnych bestii, które stworzył Weles u zarania dziejów, gdy wojowali ze sobą bogowie jasności i ciemności. Obecnie jest jednym ze strażników podziemnego świata. Co noc ożywieńcy wychodzą na brzeg Gopła, aby złożyć hołd księżycowi. Zaczniście wtedy uderzać toporami o tarcze, aby obudzić żmija. Żmij spopieli truposze jednym tchem, posyłając znękanе dusze do Nawii. Pora zwrócić je Welosowi. Z jego mocą zwyciężysz i będziesz odtąd walczył pod jego godłem, rzucając postrach na okoliczne ludy. Mogę go przywołać zaklęciem, ale ty musisz coś złożyć w ofierze, aby czar się dopełnił.

– Co takiego? – podchwycił niespokojnie. – Ufam, że nie własne życie?

– Im czary są mroczniejsze, tym więcej potrzeba krwi – wyjaśniła. – By zyskać przychylność podziemnych mocy, musisz oddać to, co dla ciebie najdroższe.

– Mogę ofiarować waszej świątyni wszystkie łupy zdobyte po drodze – rzekł ochoczo.

– To za mało – odparła obojętnie. – Nie dbasz zresztą tak naprawdę o te przemijające dobra. Mówiłam też, że ofiara musi być krwawa.

– To może przyprowadzę jutro siedem moich nałożnic?
– spytał z zakłopotaniem, sam sobie się dziwiąc, że przychodzą mu do głowy podobne pomysły, ale w końcu był jak tonący, chwytający się wszystkiego, co go mogło wydobyć z topieli. – Nudzą mnie, lecz kochają i zrobią dla mnie wszystko.

– Trochę lepiej, ale to wciąż zbyt mało cenny dar – odrzekła, kręcąc głową. – Te nieszczęśnice kochają cię jeno z musu, pod groźbą śmierci. Nie próbuj się targować z mocami ciemności, bo cię pochłoną i pożrą – ostrzegła.
– To, co dla ciebie najdroższe, masz niemal zawsze przy sobie. Bez czego nie mogą się obejść ludy wędrownie?

– Bez koni... – zrozumiał wreszcie wódz Antów. – To prawda, mój rumak jest niezrównany i kocham go ponad wszystko. Towarzyszy mi od początku wędrówki i jest mi najwierniejszym druhem.

– Dlatego właśnie musisz go poświęcić bez wahania ni żalu – orzekła twardo. – Mrocznym bogom najmilsze są takie dary... Czemu się tak dziwnie uśmiechasz? – zapytała, widząc nieznaczny grymas jego zaciśniętych warg.

– Przyszło mi właśnie do głowy – rzekł jakby trochę kpiąco – że w działaniach sług Chorsa jest jakaś osobliwa prawidłowość: pokonałaś zarazę, przeistaczając zmarłych w upiory, a teraz chcesz je niszczyć ogniem bestii przywołanej z otchłani. Mniejsze zło zwalczasz większym.

– Zło czy dobro to czysto ludzkie wymysły – syknęła, wzruszając ramionami. – Bogowie są ponad takie płaskie pojęcia, tak samo jak przyroda, której siły uosabiają. W przyrodzie zło nie istnieje. Są tylko życie lub śmierć,

czyli kto kogo szybciej zagryzie i pożre. Mój pan Chors po prostu spełnia swoją powinność, podobnie jak jego słudzy.

– Cóż, jestem tylko człowiekiem, nie bogiem – usprawiedliwił się Lech, wzdychając, bo ciągle żał mu było niedoścignętego rumaka. – Mogę się zawahać.

– Jesteś wodzem i przyszłym władcą tych krain – podjęła stanowczo – dlatego nie możesz okazać lęku ani żadnej innej słabości, gdy czeka cię sława. Wielkość ma swoją cenę. Czasem trzeba poświęcić to, co dla nas najdroższe, by zyskać coś większego, wspanialszego.

– A co konkretnie mi za to dasz? – zapytał.

– Dębowy wieniec zwycięzcy i tron Goplan – obiecała z mocą. – I godnego następcę, którego pocznę z tobą tej nocy.

Lech wiedział, że decyzja podjęta teraz zaważy na całym jego dalszym życiu. Mógł odrzucić ofertę wiążącą i zrezygnować z krwawej ofiary, opieki podziemnych potęg oraz drogi bezwzględnej podboju. Może zwycięskie surmy nigdy nie zdołają zagłuszyć wyrzutów sumienia, a zjawy zabitych będą go dręczyć nocami. Jednocześnie rozumiał, że jako wódz poszukujący dla swego ludu miejsca na ziemi musi być ponad takie wątpliwości. Nigdy nie wolno się wahać, gdy pragnie się dokonać wielkich czynów i dąży do wiecznej sławy. Zwyciężył więc w nim duch zdobywcy i nienasyconego drapieżcy. Zaciął wargi, namyślając się chwilę, po czym wycedził lodowato:

– Przekonałaś mnie, wiążmy. Przywiodę tu mego konia.

To rzekłszy, Lech przyprowadził opierające się zwierzę. Wiedźma jednym ruchem przecięła tętnicę na koń-

skiej szyi i życiodajna posoka spłynęła na głązy paleniska, które buchnęło czerwonym ogniem. Wtedy wojownik i czarownica padli sobie w objęcia. Tarzając się we krwi, spłodzili potomka. Tymczasem nad końskim truchłem z krwi, ognia i dymu uformował się potężny czarny rumak. Z jego nozdrzy buchała gorąca para i zostawiał na ziemi ognisty ślad, niczym wcielony bies. Nija oznajmiła, że pochodzi z Welesowej stajni i prześcignie każdego ziemskiego wierzchowca. Lech śmiało go dosiadł, a podziemny rumak poddał się jego woli. Wódz zjechał na nim z góry niczym mroczny pogromca, wywołując popłoch wśród swoich druhów. Gdy ochłonęli, a Lech wyjaśnił im, co się stało, pognali co koń wyskoczy w stronę Kruszwicy jak zgraja szalonych czartów.

Była jasna noc księżycowa. Kruszwica spała spokojnie, ufna w potęgę ogromnych wałów i moc ożywieńców, które nie raz już odparły wroga. Od czasu do czasu słysząc było tylko nawoływania straży. Wojska Lecha skryły się w pobliskim lesie, czekając, aż zgraja topielców wyjdzie na brzeg Gopła. Wreszcie, gdy księżyc osiągnął szczyt swej wędrówki, osrebrzając wody jeziora i wierzchołki drzew, z wody poczęli wyłaniać się ożywieńcy.

Wówczas Lech wyjechał z lasu na swym budzącym postrach rumaku, a w ślad za nim jego zbrojni. Poczęli uderzać o tarcze mieczami i toporami.

Całe wojsko czekało, aż spełni się przepowiednia. I patrzyło zdumione, jak czarny wierzchowiec wodza ogromnieje, przeistaczając się w przerażającą bestię: potężnego żmija z pazurzystymi łapami, wijącym się wężowo ogonem

i paszczą pełną kłów wielkości męskiego ramienia. Niektórzy odwrócili wzrok, nie mogąc znieść tego straszego widoku. Topielcy także stanęli, przyszpileni spojrzeniem zimnych, gadzich źrenic. Woje Lecha przestali uderzać w tarcze i na polu walki zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Giniemy...! – wyrzekł nagle jeden z nieumarłych, a jego jęk rozniósł się po całej równinie i odbił echem od wałów grodu.

Wówczas zmij rozwarł paszczę i zionął siarczystym oddechem, sprawiając, że horda żywych trupów stanęła w ogniu, a wkrótce rozsypała się w proch... Mgliste cienie odpłynęły do Nawii, spłacając dług Welesowi. Lech skierował zmija na pomost, aby przepalił bramę. Po chwili wielkie wrota zapłonęły i padły do środka, wzniecając pożar wewnątrz twierdzy. Lechowi woje ryknęli:

– Sława!!!

I runęli na przebudzone miasto, by palić, grabić i mordować.

Obrońcy, widząc, co się stało, całkiem stracili ducha i dali się wycinać prawie bez walki. Kneź Derwan i jego synowie, uznawszy daremność wszelkiego oporu, wstąpili na przygotowany zawczasu stos pogrzebowy, który władca własnoręcznie podpalił. Wkrótce ogień opanował cały gród i zdobywcy musieli się wycofać, zagarnęli jednak, co tylko się dało. Rankiem, gdy zgłiszcza miasta już dogasały, na pobojuwisko przybyła Nija, która włożyła na głowę zwycięzcy dębowy wieniec i ogłosiła go władcą całej krainy. Wzięli ślub według obrządku Chorsa wśród ciągle gorących popiołów.

– To zwycięstwo ma smak popiołu – powiedział Lech, ujmując dłoń małżonki. – Kruszwica jest jednym wielkim pogorzelskiem.

– Ale legła skruszona u twoich stóp, jak i cała kraina Goplan – stwierdziła bystro Nija.

Uklękła przed zwycięzcą i przyszłym panem podbiitych ludów, a w jej ślad poszła jego świta.

Lech kazał wybudować na wyspie kamienny stołp, który stał się oznaką jego władzy. Górował on nad całą okolicą, a przez prosty lud nazwany został Wieżą Lecha. Wielkie zwycięstwo nad Goplanami rzuciło blady strach na okoliczne ludy, które drżały odtąd przed potęgą lechickiego miecza i grozą czarnego żmija. Właśnie wtedy zaczęto Antów zwać Lechitami, a całe ich władztwo Lechią.

Trzeba wam jednak wiedzieć, że Nija zaraz po ceremonii zaślubin zebrała pieczołowicie prochy ojca i braci, po czym schowała urnę w sobie tylko wiadomym miejscu.

Dziewięć miesięcy później, gdy Lech podbijał kolejne plemiona, wymknęła się głęboką nocą z grodu na dawne pobojowisko, miejsce ostatecznej zagłady swego ludu. Wydobyła spod ziemi popielnicę i obsypała brzemienne łono prochami krewnych. Zagrzebana w popiołach, zaciskając zęby, by nie wydać nawet cichego jęku, porodziła upragnionego następcę. A tuląc noworodka do piersi, szeptała:

– Witaj, mścicielu Goplan. Witaj, synu popiołów... Witaj, Popielu.

I z tej opowieści możecie wyciągnąć naukę, aby nigdy nie ufać wiedźmie, zwłaszcza kiedy sama ostrzega,

żeby tego nie robić. Zanim jednak zajmiemy się ciemnymi sprawkami młodego Popiela i jego zwodniczej matki, pora, bym opowiedział, jak Krak zawojował krainę Wiślan. A było to tak...

OD AUTORA

Smocza klątwa rodu Kraka, Kołowrót Piaśta, czyli jak Popiel powstał z popiołów

Popiel to wielowątkowa słowiańska epopeja, osnuta na bogatym tle rodzimych podań, mitów i baśni. Ukazuje pierwotne wyobrażenia o tej części ludów słowiańskich, z których w przyszłości miał powstać naród polski. Walki Lechitów i Wiślan przedstawione są także w powiązaniu z mityczną wizją świata i wierzeniami naszych przodków. (Każdego, kto chciałby dokładniej je poznać, zachęcam do przeczytania moich *Darów bogów*). Pradawne opowieści o Lechu, Kraku, Wandzie, Popielu i Piaście zostały w niej urozmaicone i przekształcone, jednak z zachowaniem ich podstawowych, znanych każdemu od dziecka składników.

Jakie czynniki podziały na moją wyobraźnię i skąd czerpałem pomysły? Odpowiedź jest prosta i zarazem skomplikowana.

Sięgając na przykład po najstarszy zapis podań krakowskich, zawarty w *Kronice polskiej* Wincentego Kadłubka, i traktując go jako punkt wyjścia, możemy wyróżnić trzy podstawowe elementy: walkę Kraka i jego synów ze smokiem, bratobójczą zbrodnię młodszego syna i szczególną pozycję Wandy jako ostatniej dziedziczki rodu. I cho-

ciąż średniowieczny dziejopis dodał też sporo własnych, pseudohistorycznych fantazji (choćby fikcyjne boje przodków z Aleksandrem Macedońskim i Juliuszem Cezarem), zdolni jesteśmy wyłuskać z *Kroniki*... zgrab opowieści.

Pokonanie smoka przez władcę, założyciela grodu i prawodawcę, można uznać za kolejną wersję archetypu praindoeuropejskiego, w tym również słowiańskiego mitu o zmaganiach słonecznego bóstwa Swaroga/Peruna, uosabiającego prawo i porządek, ze Żmijem reprezentującym siły chaosu i śmierci. Mit ten został przekonująco zrekonstruowany przez Aleksandra Gieysztora (*Mitologia Słowian*, wyd. III, Warszawa 2006) na podstawie źródeł etnograficznych i omówiony szerzej na bogatym tle kulturowym przez Andrzeja Szyjewskiego (*Religia Słowian*, Kraków 2003). W takim kontekście należy przyjąć, że opowieść o rodzie Kraka nie była całkowicie dowolnym wymysłem średniowiecznego kronikarza, lecz najprawdopodobniej zaczerpnął jej zasadnicze komponenty z miejscowych podań, w których zachowała się pradawna symbolika rodzimych wierzeń. Podanie o Smoku Wawelskim można potraktować też jako metaforyczną odmowę składania ludzkich ofiar bóstwu podziemnemu, w tym wypadku Welesowi, reprezentowanemu przez Żmija. Krak, witeź słonecznych bogów i jego synowie sprzeciwiają się temu, zabijając smoka, tak jak Perun zwalcza każdej wiosny z pomocą planetników wiążące wody żmije, kryjące się w skłębionych cielskach burzowych chmur. W podaniu zachowały się więc być może ślady jednego z podstawowych słowiańskich mitów obrazujących wieczną walkę

światłości z ciemnością, dnia z nocą, wiosny z zimą i życia ze śmiercią.

Rywalizacja dwóch synów Kraka odzwierciedla z kolei klasyczny mit indoeuropejski o walce słońca z księżycem, jeśli weźmiemy pod uwagę przewijający się często w słowiańskich baśniach konflikt sił solarnych i lunarnych, to jest współzawodnictwo słonecznego brata z młodszym, księżycowym. Zwykle w tego rodzaju narracjach jeden z braci ginie zgładzony przez drugiego lub naprzemienienie któryś z nich zyskuje przewagę, tak jak dzieje się to z żywiołami przyrody.

Warto przy okazji zauważyć, że Wincenty Kadłubek nic nie wiedział o żadnym szewczyku Skubie. W jego wersji legendy pokonali smoka Krak i młodzi książęta. Postać ta pojawiła się grubo później, bo dopiero w 1597 roku, w opracowanej przez Joachima Bielskiego kronice jego ojca, Marcina. Ponadto Bartosz Paprocki umieścił ją w legendzie herbowej rodu Awdańców, a w XIX wieku trafiła do popularnych powiastek opracowywanych na użytek oświaty. W dzisiejszych czasach, jak zauważyłem, Skub jest ustawicznie mylony z szewczykiem Dratewką, tworem imaginacji Janiny Porazińskiej. W napisanej przez nią baśni pokonuje wprawdzie złą czarownicę, a nie smoka, jednakże chyba wykonywany zawód sprawia, że czytelnicy utożsamiają go błędnie z zupełnie inną postacią. Być może część „winy” ponosi także utwór Marii Kownackiej z 1935 roku *Bajowe bajeczki...*, w którym autorka dokonała kontaminacji dwóch pokrewnych motywów. Tak czy owak nieszczęsny szewczyk nadal pojawia się w opracowaniach

dla dzieci. Uporczywa literacka egzystencja tej sztucznie doczepionej postaci kazała mi go potraktować dość obcesowo, co mam nadzieję, zostanie mi wybaczone.

Osobne miejsce zajmuje w narracji Kadłubka księżniczka Wanda, która w ujęciu kronikarza jest nie tylko dzielną wojowniczką broniącą kraju przed obcym najeźdźcą, ale także postacią nadludzką, mającą status półboskiej kapłanki rozkazującej potęgom natury. Przypomnijmy tu słynne, wielce zagadkowe słowa pokonanego agresora: „Wanda morzu, Wanda ziemi, obłokom niech Wanda rozkazuje, bogom nieśmiertelnym za swoich niech da się w ofierze...”. Nie wyglądają one na cytaty z żadnego klasycznego dzieła (choćby mistrz Wincenty szalenie lubił cytować) ani na autorski koncept, brzmią raczej jak fragment jakiegoś przedchrześcijańskiego rytuału. Możemy zatem ostrożnie założyć, że w tej części opowieści pojawia się pozostałość znacznie starszej tradycji ludowej, być może dziewiczych ofiar składanych wodzie, na skutek których poświęcone dziewczęta zamieniały się w baśniowe rusałki, wodnice i topielice.

Konstruując nową wersję klasycznych legend, czerpałem też inspiracje z literackich tradycji: romantycznej i neoromantycznej. W pierwszym rzędzie były to utwory Juliusza Słowackiego: *Lilla Weneda* (Lech jako krwawy najeźdźca; złowieszcza wiedźma uprawiająca czarną magię, aby wspomóc podbijany lud; bliźniaczy bracia obrońcy), niedokończony *Krak* (zbuntowany nastoletni Krakus zabawiający się w karczmie z podejrzaną kompanią) i *Król-Duch* (tamże matka Popiela nazywa go „synem popiołów”; konflikt Po-

piela z Lechem; próba uwiedzenia Wandy). Uważny czytelnik z pewnością wyłuska wiele innych nawiązań i nieco przewrotnie potraktowanych aluzji, zwłaszcza w początkowych rozdziałach.

Zasadniczą pożywką dla inspiracji stał się dla mnie poemat Wojciecha Dzieruszyckiego *Baśń nad baśniami* (Lwów 1889), stworzony u progu Młodej Polski i najprawdopodobniej nieświadomie antycypujący twórcze poszukiwania nadchodzącej epoki. Obecnie jest niestety niemal zupełnie nieznany i (niesłusznie według mnie) zapomniany. Jakie były przyczyny jego niepowodzenia? Można ich wskazać kilka. Autor miał ambitny zamiysł wypełnienia pewnej luki kulturowej i stworzenia słowiańskiej epopei typu homeryckiego, jakiej brakowało w naszej literaturze. Miało to być dzieło na miarę nordyckiej *Eddy* lub co najmniej fińskiej *Kalevali*, spisanej nieco wcześniej (1835) przez Eliasa Lönnrota. Niestety jako głównie prozaik i eseista, w swym wierszowanym eposie twórca nie sięgnął poetyckich wyżyn, (choćby na miarę Słowackiego czy wschodzącego wówczas talentu Stanisława Wyspiańskiego), popadając miejscami w nadmierną rozwlekłość i przegadanie. Jednakże wykazując niesamowitą erudycję i znawstwo tematu, stworzył na kanwie rodzimych legend barwną, fascynującą fabułę, pełną ciekawych, czasem zaskakujących, a jednak zgodnych z mitotwórczą konwencją pomysłów, nie burzących zasadniczo logiki ani sensu opowieści. Bogactwo treści i symboli zawartych w poemacie jest jego niezbywalną wartością, nawet jeśli w swoim czasie nie został doceniony. Ujmując tę kwestię na szer-

szym tle społecznym i historycznym, należy uwzględnić, że przeciętny polski czytelnik złacony był w owych czasach przede wszystkim sentymentalnych patriotycznych powiastek pisanych „ku pokrzepieniu serc”. Utwór ewidentnie nie trafił na sprzyjający grunt, ponieważ literacka publiczność nie była jeszcze gotowa na tak nowatorskie, niekonwencjonalne ujęcie rodzimych mitów i legend. Kolejną przyczyną była postawa autora, który nie zabiegał zbyt o uznanie krytyki czy poklask tłumów. Galicyjski dygnitarz, mąż stanu, słynny wykładowca i dziedzic ogromnej fortuny traktował własną działalność literacką jako rodzaj hobby, nie była ona podstawą materialną jego bytowania. A jednak utwór ten moim zdaniem wart jest, by ocalić go od zapomnienia, gdyż pomimo niedostatków formalnych zawiera sporo ciekawych konceptów fabularnych, nad którymi warto się pochylić.

Tworząc *Baśń nad baśniami*, był autor ewidentnie pod wpływem modnej wówczas teorii ujmującej legendarne motywy i postacie z rodzimych podań jako egzemplifikację zjawisk natury i przemian zachodzących w przyrodzie. Głównym jej przedstawicielem był Kazimierz Szulc, który w głośnej wtedy pracy *Mityczna historia polska i mitologia słowiańska* (Poznań 1880), tak na przykład ujmował dzieje Kraka i jego potomków:

„Zabójstwo smoka nic innego nie oznacza jak zwycięstwo światłości nad ciemnością, lata nad zimą, pierwiastka dobrego nad złym, bóstwa słońca nad księżycem. Ponieważ bóstwa słońca i księżyca, wedle wyobrażeń słowiańsko-polskich, były braćmi, więc Krakus, zabijając smoka,

popęłnił bratobójstwo, wskutek czego na czas jesieni i zimy poszedł na wygnanie, a rządy objęła bogini ziemi i wody Wanda. Wanda znów ze swej strony napastowana przez księcia ciemności i księżycy Rytygiera rzuciła się w nurty Wisły, a po niej rządili w czasie zimy zmieniający się każdego miesiąca wojewodowie”.

Trzeba przyznać, że owe interpretacje nie miały rzeczonych podstaw naukowych, były jednak niewątpliwie kuszące pod względem literackim i mogły zainspirować niejednego twórcę. Dzieduszycki podążył w swoim utworze podobnym tropem, a chociaż brak jednoznacznych dowodów bezpośredniego wpływu stwierdzeń Szulca na zastosowane przez autora rozwiązania fabularne, nie sposób nie zauważyć, że chwilami analogie są wręcz uderzające:

Walka Kraka ze smokiem symbolizuje w tym aspekcie wiosenne słońce, triumfujące nad ciemnościami i chłodem zimy. Sam władca zamienia się potem w króla węzów – do czego jeszcze wrócę, omawiając *Legendę* Stanisława Wyspiańskiego.

Współzawodnictwo Krakusa i Leszka ujęte zostało w podobny archetypowy sposób: młodszy zabija pierworodnego, czym sprowadza zagładę na swój ród, wydając kraj na pastwę mrocznych knoń zimowego władcy, Popiela.

Wanda nie ulega zakusom niemieckiego zalotnika (zresztą kolejnego wcielenia „księcia ciemności”, pod postacią cudzoziemskiego gościa kryje się bowiem Popiel). Perypetie niedoszłego mariażu, zakończonego skokiem Wandy do Wisły, są więc w *Baśni* kolejnym etapem walki światła z ciemnością, gdyż pozorne samobójstwo księżniczki

w rzecznych nurtach stanowi w istocie powrót do świata podwodnego, czyli jej naturalnego środowiska. W ostatecznym starciu Wanda pokonuje czarnego żmija, potwierdzając status niezłomnej słowiańskiej wojowniczkii, ale także ziemo-wodnej rusałczanej boginki.

Ciekawe, że również Stanisław Wyspiański zaprezentował dość podobną interpretację dziejów rodu Kraka w napisanych – stosunkowo niedługo po ukazaniu się poematu galicyjskiego senatora – dwóch wersjach dramatu *Legenda* (opublikowanych kolejno w latach 1897 i 1904). Wybitny twórca wystylizował je na modłę greckich lub szekspirowskich tragedii, niezwykle przy tym komplikując perypetie podaniowych postaci. Aby je w pełni zrozumieć, najlepiej posłużyć się dłuższym cytatem z listu do recenzentki Marii Krzymuskiej, w którym następująco przedstawił oś dramaturgiczną utworu:

„Wanda jest córką Kraka i Wiślany i dlatego jest »rusalną«; o tym swoim pochodzeniu dowiaduje się przy śmierci braci i odtąd już z tą świadomością żyje... (...)

Zaś właśnie Smok-Żmij, o którym jest u mnie w balladach wzmianka, jest owym Krakiem ojcem, który przez króla Wód – Wiślana zamieniony w straszliwego gada zamieszkiwał w norach nad rzeką, pilnując skradzionego miecza. Syn zaś jego z wiecznie młodej Wiślany zrodzony, a wyrzucony na brzeg i wychowany przez chłopów, ani przeczuwał, że zabijając Smoka, ojca swego zabił zakłętego. Wiślana wychodzi nad wodę płakać swego dawnego kochanka, a pociesza ją Krak młody i rozmiłowuje się w niej, porywa przemocą opierającą się. Ta też Wiślana

później porzuca w szuwarach Wandę-dziecko. A młody Krak, ożeniony z córką chłopą, ma jeszcze dwóch synów wprzód. Znajdę-Wandę każe wychować u siebie i oto cały powód zamętu, i oto cały szereg zbrodni i win samowiednie lub bezwiednie spełnionych. Otóż mam zamiar do istniejących dwóch aktów *Legendy* dopisać poprzednie cztery”.

(Cytuję za: Julian Maślanka, *Literatura a dzieje bajeczne*, Warszawa 1990).

Autor niestety nie zrealizował owego zamiaru, co sprawia, że pogmatwana historia rodu Kraka pozostała opowiedziana jedynie w trzech wzmiankowanych „balladach” w sposób niezmiernie niejasny i niechronologiczny (poczynając jakby od końca całej historii). Dodatkowo utrudnia to percepcję i tak już niełatwego w odbiorze utworu, napisanego bowiem, zgodnie z panującą ówczesnie modą literacką, gwarą wsi podkrakowskich. Uznałem wszakże koncepty genialnego artysty za doskonały materiał fabularny, który postarałem się chociaż częściowo wyzyskać, tworząc własną wersję opowieści o rodzie Kraka. Od Wyspiańskiego przejąłem też kapitalny pomysł, by za właściwych Wiślan uznać lud wodników i rusałek.

W ujęciu Wyspiańskiego, podobnie jak u Dźieduszyciego, Wanda jest „rusalna, wodna” i „upomina się o nią woda”, zaś jej skok do Wisły wcale nie kończy się śmiercią, lecz jest jedynie przejściem do świata podwodnego, czyli innego wymiaru jej egzystencji.

Przemiana Kraka w smoka-żmija wydaje się na pierwszy rzut oka dość ekscentrycznym pomysłem (jak pamięć-

tamy, Dzieduszycki także zamienił go w gada), jednakże odnajdujemy relikty podobnego sposobu myślenia w legendzie z okolic Szklarskiej Poręby. Występuje w niej, jak informuje nas *Księga smoków polskich* (Bartłomiej Grzegorz Sala, Paweł Zych, Witold Vargas, Olszanica 2017), smok o imieniu Krak, który jest zresztą postacią pozytywną i pomaga zagubionej dziewczynie. Widzimy zatem, że podwójna tożsamość pogromcy smoka, który zwyciężając bestię chaosu przejął niejako jej zewnętrzne cechy, zapładniała wyobraźnię nie tylko wykształconych artystów, ale także ludowych bajarzy.

Wracając do *Baśni nad baśniami* i podsumowując jej ideową wymowę, możemy stwierdzić, że główne postacie, Popiel i Jaga, reprezentują niszczące potęgi przyrody, szczególnie zimowe okowy mrozu, natomiast Piast i Rzepicha uosabiają siły płodności zapewniające odrodzenie życia na ziemi i pomyślną przyszłość. Piast jest w epopei synem Kraka/Swaroga i wcieleniem Peruna, a jego żona Rzepicha morską boginką i panią wód dbającą o żyzność gleby. Autor całkiem dobrze posłużył się intuicją artystyczną i mitotwórczą fantazją. W wyobrażeniach naszych praprzodków stary rok, zastąpiony przez nowy, przedstawiony był jako okrutny tyran, obalony przez młodego władcę przynoszącego ludziom światło i dobro. Ten mityczny sposób myślenia znalazł odbicie w legendach jako pojawienie się dobrego rodu Piastów, który stracił z tronu starego, złego Popiela. Wojciech Dzieduszycki pomysłowo zmodyfikował wątki podaniowe zgodnie z główną koncepcją ukazania słowiańskich bogów i herosów jako wcielenia żywiołów i potęg natury.

Od dawna chodziła mi po głowie myśl, aby przetworzyć występujące w literaturze wątki podaniowe i stworzyć na ich kanwie własną wersję mającą wymiar przedchrześcijańskiej sagi z całym jej pierwotnym okrucieństwem. Osnutą na rodzimym tle mitologicznym i posiadającą specyficzny słowiański klimat, nawet wręcz „tchnącą polskością”, ale nowocześnie przy tym odczytaną w stylu dark fantasy. Traktując poemat Dźieduszyckiego jako materiał wyjściowy, zachowałem zasadniczy kościec fabularny, lecz jednocześnie mocno przekonstruowałem akcję i motywacje bohaterów zgodnie z naszą obecną wiedzą o tamtych mrocznych czasach; dodałem też sporo własnych pomysłów, a sławne baśniowe postacie pogłębiłem psychologicznie. Sporo materiału do przemyślenia dostarczyły mi w tym względzie dwie znakomite prace Jacka Banaszkiewicza: *Polskie dzieje bajeczne mistrza Wincentego Kadłubka* (Wrocław 1998), a także *Podanie o Piaście i Popielu* (wydanie II, Warszawa 2010).

Na koniec jeszcze jedna uwaga na marginesie: pamiętajmy, że tajemniczy Wędrowiec zwraca się do słuchaczy nieodległych czasowo od snutej przezeń opowieści, nie musi zatem wdawać się zbytnio w opisy wczesnośredniowiecznych grodów, wnętrz, broni lub strojów, skoro te wszystkie realia są im doskonale znane. Wystarczy zaznaczenie pewnych istotnych elementów, by odbiorca resztę sobie w wyobraźni „dośpiewał”. Stąd pewna skrótowość opisów i pominięcie zbędnych z punktu widzenia opowiadającego detali. Mniemam jednak, że dzisiejszy czytelnik również zdoła bez trudu uzupełnić baśniowy świat przed-

stawiony własną fantazją, wzbogaconą o wizje zaczerpnięte z filmów i seriali kostiumowych lub choćby gier wideo.

W XX stuleciu krytycznie nastawieni historycy i teoretycy literatury traktowali często legendy dynastyczne Lechitów i Wiślan jako nic niewarte bajędy lub wymysły średniowiecznych kronikarzy. Zepchnięto je wówczas ostatecznie na półki z literaturą dziecięcą, choć gdy się głębiej wczytać, są to mroczne historie, pełne grozy i krwi. Mamy już jednak wiek XXI i zupełnie inną epokę literacką, w której rodzime mity, legendy i baśnie są odkrywane na nowo i w pewnym stopniu wracają do głównego nurtu literatury. Nie samym realizmem na szczęście żyje człowiek, o czym najlepiej wiedzieli nasi przodkowie, snując przy ognisku fantastyczne opowieści o bogach i bohaterach.

Witold Jabłoński

Popiel

Copyright © Witold Jabłoński

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Leszek Woźniak

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2020 r.

druk ISBN 978-83-7995-456-8

epub ISBN 978-83-7995-457-5

mobi ISBN 978-83-7995-458-2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Joanna Mika

Korekta: Bożena Walewska

Korekta techniczna: Beata Paździurkiewicz

Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Leszek Woźniak

Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

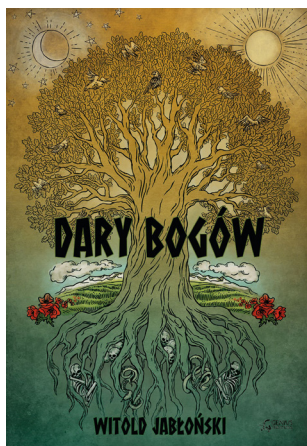
sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl

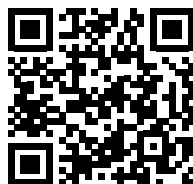


DARY BOGÓW WITOLD JABŁOŃSKI

Posłuchajcie opowieści starego bajora... Czternastu opowieści o pradawnych czasach, gdy światy bogów i ludzi stanowiły jedność. Kiedy bogowie ciskali pioruny, rusałki tańczyły w księżycowym blasku, a krwiożercze zmory i wilkołaki pustoszyły ludzkie siedliska. Żaden śmiertelnik nie mógł być świadkiem tych zdarzeń. Nieśmiertelni przekazali opowieści o tych dniach najstarszym ludziom, a dziadowie i ojcowie swoim synom i wnukom. Powtarzane z ust do ust, z pokolenia na pokolenie, przetrwały do dziś.

Wybierzcie się z nami na błogie łąki Wyraju oraz na jałowe pustkowie groźnej Krainy Zmarłych, by poznawać ich odwieczne tajemnice. Otwórzcie serca, odkryjcie własne korzenie, wsłuchajcie się w głosy przodków...

Mity słowiańskie opowiedziane w zupełnie nowy sposób!





NOC MIĘDZY TAM I TU MARTA KRAJEWSKA

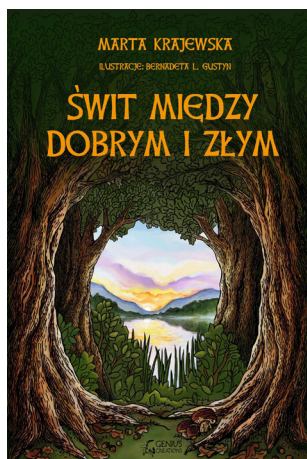
Oto wzruszająca historia siedmioletniego Bratmiła. Pewnej letniej nocy samotnie wyrusza na poszukiwanie swojej siostrzyczki, małej Paprotki. W lesie spotka istoty ze słowiańskich baśni i legend, które pomogą mu odnaleźć nie tylko ją, ale przede wszystkim siebie.

Marta Krajewska z wdziękiem porusza trudny temat rywalizacji między rodzeństwem. Zaprasza dzieci i ich rodziców na wyprawę do spowitego słowiańską magią świata. Z wyprawy Tam Wasze pociechy wrócą Tu odmienione i bardziej kochające.

PIERWSZY TOM PRZYGÓD MIŁKA Z WILCZEJ DOLINY



[Kup książkę](#)



ŚWIT MIĘDZY DOBRYM I ZŁYM MARTA KRAJEWSKA

W Wilczej Dolinie lichy nie śpi!

Od kiedy Bratmił rozpoczął nauki u Chaběrki, oboje mają ręce pełne roboty. W chacie kowala coś harcuje nocami i pozbawia gospodarzy snu. Należąca do rybaków krowa nagle traci mleko, jakby ktoś rzucił na nią urok. Kłopoty zdają się nie mieć końca, opiekunka jednak nie załamuje rąk, ale beznamyślnie egzekwuje prawa boskie i ludzkie.

Bratmił obawia się, że może się stać równie bezwzględny jak Chaběrka, a jednocześnie zdaje sobie sprawę, że rola opiekuna tego wymaga. Chłopiec zaczyna się bać, że albo zatraci siebie, albo nie sprostą pokładanym w nim nadziejom.

Początek nauki jest niczym świt. Jeszcze nie wiadomo, czy nadchodzący dzień będzie pełen smutku, czy radości. O świetle wszystko jest możliwe, a Bratmił musi wybrać właściwie.

Marta Krajevska ponownie zabiera nas do Wilczej Doliny, na spotkanie z Bratmiłem. Pierwsze rozterki, troski, trudne wybory i pierwsza miłość... To mądra opowieść dla rodziców i ich dorastających dzieci.

DRUGI TOM PRZYGÓD MIŁKA Z WILCZEJ DOLINY





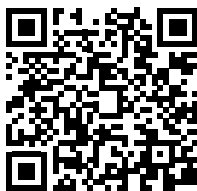
IDŹ I CZEKAJ MROZÓW MARTA KRAJEWSKA

W świecie, gdzie puszcza włada leśszy, w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród chat przemykają zmory i strzygonie, młodziotka Venda musi stanąć na straży bezpieczeństwa mieszkańców Wilczej Doliny. Przyjdzie jej mierzyć się nie tylko z bogami czy stworzeniami nocy, ale znacznie groźniejszymi przeciwnikami: samotnością, strachem i zwątpieniem.

Na oczach Vendi wypełnia się starożytne proroctwo. Do Wilczej Doliny powraca DaWern – ostatni z Wilkarów. Zemsta Pana Lasów za rzeź jego dzieci wydaje się nieunikniona. Czy zakazana miłość stanie na drodze przeznaczeniu, czy też pozwoli wypełnić przerażającą przepowiednię? Jak potoczą się losy zakochanego w zielarce syna karczmarza, pięknej minstrelki Stalki, towarzyszącego jej wojownika i innych mieszkańców wioski, z których każdy skrywa swoje tajemnice?

Stare opowieści krążą między nami, a my żyjemy między nimi. Podążałem znajomymi tropami, gubiłem się w nich i dawałem opłatać pełnej grozy magii, w którą schwytała mnie autorka. – Paweł Majka, autor Pokoju światów i Wojen Przestrzeni, dwukrotny zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego

PIERWSZY TOM OPowieści z WILCZEJ DOLINY
NOMINOWANY DO NAGRODY ZAJDLA



[Kup książkę](#)



ZASZYJ OCZY WILKOM MARTA KRAJEWSKA

Podczas każdej pełni księżyca mieszkańcy Wilczej Doliny ryglują drzwi w chatach i siedzą w ciszy, nasłuchując z niepokojem wycia wilkołaka. Pochłonięta własnymi kłopotami Venda nie potrafi w pełni poświęcić się obowiązkowi Opiekunki. Nikt nie wie, jak wygórowaną cenę zapłaciła dziewczyna za pomoc otrzymaną od Pana Lasu i jak długo jeszcze będzie jego dłużniczką.

Atra, niepomna ostrzeżeń, pragnie nie tylko odzyskać to, co utraciła, ale również zemścić się. W trakcie swoich poszukiwań odkrywa, że być może ostatni z wilków będzie w stanie jej pomóc. Czy jednak jej starania nie doprowadzą do jeszcze większych nieszczęść? Wiąż łącząca Vendę i Dawerna nie może zostać zerwana bez straszliwych konsekwencji.

W świętym gaju bogowie milczą, a Venda czuje się opuszczona i bezsilna. Nad Wilczą Doliną zapada zmrok...

*Nikt, tak jak Marta Krajewska, nie potrafi przedstawiać słowiańskiej fantasy poprzez lokalność z jej barwnymi obrzędami i rytuałami. „Zaszyj oczy wilkom” nie jest kolejną epicką opowieścią o zbiorowisku bohaterów albo jeszcze jedną wariacją na temat „Gry o Tron”. To oryginalna, swojska a przy tym tajemnicza fantasy. - **Paweł Majka**, autor *Pokoju światów i Wojen Przestrzeni*, dwukrotny zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego*

DRUGI TOM OPowieści z WILCZEJ DOLINY





DRZEWO WSPOMNIEŃ
MAGDALENA LEWANDOWSKA
MAŁGORZATA LEWANDOWSKA

Źle się dzieje w Daborze. Pozbawione przywództwa Witii i nękane atakami potężnego cesarstwa Hemaru państwo chyli się ku upadkowi. Okradany przez urzędników skarbiec świeci pustkami. Po wielu latach wojny brakuje wiary w to, że nierówna walka z cesarstwem ma jakikolwiek sens.

W desperackiej próbie ocalenia Daboru na nową przywódczynię wybrana zostaje Saja – dwunastoletnia wnuczka ostatniej Witii. Z pomocą woja Mira, wilka Skry, zielarek, sieci daborskich agentek i wtrącających się we wszystko duchów przodków młoda Witia musi wypełnić swoją pierwszą misję – zatrzymać nieuchronną inwazję Żeglarzy z wysp Trogen, bezwzględnych piratów sprzymierzonych z cesarstwem.

Pełna słowiańskiej magii opowieść o dojrzewaniu i kształtowaniu charakteru, o mocy, jaką niesie wierność tradycji.

PIERWSZY TOM CYKLU WITIA

